

Sztuka podróżowania



Powozownia zamkowa w Łańcucie, pocztówka.

Włodzimierz Wójcik (*Sosnowiec*)

Może na co dzień nie zawsze zdajemy sobie sprawy z tego, że nasze życie jest jedną wielką podróżą. Dotyczy to zarówno tak zwanych wielkich, a więc: artystów, pisarzy, uczonych,

inżynierów-wynalazców, jak też całkiem zwyczajnych ludzi. Historia ludzkości znaczone jest podróżą, której synonimem są nazwiska ludzi tej miary, co Ibrahim Ibn Jakub, Marco Polo, Krzysztof Kolumb, Vasco da Gama oraz zwykłych śmiertelników, a więc: kupców, wędrownych cieśli, kosiarzy, domokrążców; beduinów, romów, emigrantów politycznych czy ekonomicznych. O roli podróży - tym razem roli podróży literackich - Jarosław Iwaszkiewicz wypowiadał się następująco: Dla ludzi piszących, poetów, literatów, nie ma jak podróż. Nie tylko zmiana środowiska, ale sam ruch wagonu, stuk kół o szyny już wywołują w umyśle pewnego rodzaju fermenty. Pomysły sypią się, rytm wiersza gada - i ostatecznie zamiast podziwiać i oglądać jakieś cudzoziemskie cuda - podróżujący pogrąża się we wspomnienia, a ze wspomnień powstają fikcje, nie mające nic wspólnego z otaczającą go rzeczywistością, a jednak dzięki tej rzeczywistości powstałe. Nieco inne aspekty pożytków podróżowania podnosił Kazimierz Wierzyński w cyklu esejów pod wymownym tytułem Cygańskim wozem. Wyznawał:

Przelatywałem Atlantyk jedenaście razy, ale nic mi to nie dało. Ogromne samoloty, stu pasażerów, ciasnota, nuda. (...) Samochód to także podstępny przewodnik po świecie. Także supremacja maszyny nad człowiekiem, także odcięcie od rzeczywistości. (...) Właściwie świat nadaje się, by chodzić po nim piechotą. Wtedy jest dostępny i namacalny od oczu do

podeszwy. Najbardziej nostalgiczne wspomnienia mam ze szkolnych czasów, z wędrówek (...).

Tym tropem myślowym szli inni skamandryci: Antoni Słonimski jako autor tomików „Droga na Wschód” i „Z dalekiej podróży”, czy „Stanisław Baliński jako twórca wierszy Wieczór na Wschodzie”. Baliński, emigrant mieszkający od czasu wojny w Londynie, zżerany tęsknotą za Polską marzył o zwyczajnych spacerach ścieżkami polnymi ojczystej ziemi. W swoim „Dzienniku” notował:

Tak bardzo chciałbym iść nawet z obolałym kolaniem, nawet lekko kulejąc przez jakąś ścieżkę polską i widzieć jako cel tej włóczęgi białawe brzozy.

Ale dość cytatów. Widzimy z nich, że są tam zawarte podróżne doznania i zaledwie wybrane tylko opinie ludzi nam współczesnych. A jak bywało dawniej? Słowacki, Mickiewicz, Norwid, Kraszewski i setki innych - to pisarze podróżnicy. Na wołowej skórze tego nie spisać. Zresztą nie o jakiś rejestr tutaj chodzi... Rzec najważniejsza to wnioski.

Podróżowanie jest oglądaniem i przeżywaniem świata. To prawda. Nowoczesnymi środkami lokomocji: szybkim

samochodem, statkiem oceanicznym, czy samolotem odrzutowym na wysokości dziesięciu lub dwunastu tysięcy metrów. Można jednak czasem zdobyć się na podróżowanie rowerem, bryczką, furmanką, nawet pieszo. Zwłaszcza pieszo. W pierwszym przypadku mamy do czynienia z - używając terminu Zofii Nałkowskiej - „widzeniem dalekim”. W drugim - z „widzeniem bliskim”.

Podróżujemy bezustannie nie tylko pokonując czas i odległości w rozumieniu fizykalnym. Czytając na przykład „Pana Tadeusza” kształcimy naszą wyobraźnię. Przenosimy się w miniony już czas i w inną przestrzeń. Wiadomo: na ziemi litewskiej lat 1811-1812, nad równiny nadniemeńskie, „do tych pól malowanych zbożem rozmaitem, połączanych pszenicą, posrebrzanych żytem”. Bardziej wykształcony czytelnik wie, że znajduje się w przestrzeni artystycznej, i jest zdolny podążyć także za podmiotem twórczym, w tym konkretnym przypadku za poetą, którego uznajemy za jednego z trzech, czy czterech wieszczów. Bada okoliczności powstania utworu. Biegnie tedy myślą ku Francji, do Paryża, nad Sekwanę, gdzie w latach trzydziestych minionego stulecia, w okresie Wielkiej Emigracji polistopadowej, powstawały artystyczne wizje Mickiewicza... To też jest pyszne podróżowanie. Wymaga jedynie wyrwania się - choćby na niedługi czas - z szalonego, nieludzkiego rytmu codzienności, zwolnienia pędu, i spokojnego oddania się lekturze w ciepłym świetle stołowej lampy.



Powozownia zamkowa w Łańcucie, pocztówka.

Jakie płyną wnioski z niniejszych wywodów? Chyba takie, że jeśli życie jest podróżą, to trzeba pamiętać, iż długość możliwej do przebycia w życiu drogi zależy od mądrze zorganizowanych na tej drodze wygodnych przystanków. Trzeba trochę racjonalizmu, mądrości, rozwagi... Chodzi o to, aby na końcu tej drogi nie żałować – na skutek nieracjonalnego pędu za zdobywaniem mnóstwa przedmiotów i „rzeczy” – tego, iż nie zauważyło się fenomenalnego kształtu liści klonowych, cudownej organizacji życia mrówek, uroku rydza wyłaniającego się z leśnej trawy w lasach w okolicach Siewierza, koloru gila, czy sikorki, która towarzyszy nam w zimowe dni, mądrych liryków Szymborskiej,

sugestywnych obrazów Malczewskiego, Chagalla, czy nie słyszało w całej pełni tonów muzyki Vivaldiego... Chwila refleksji nie zaszkodzi. W szaleńczym pędzie życia, który jest czasem po prostu nierozumnym biegiem obok życia, konieczny jest przystanek; potrzebny, po wyjściu z odrzutowca, swobodny spacer właśnie polnymi ścieżkami, po łące, nad strumieniem, „gdzie woda czysta, a trawa zielona...”

Można także, nie bacząc na mgłę i mżawkę, iść krok za krokiem nad naszą Czarną Przemszą i nieść w sercu tę niezłomną nadzieję, że wcześniej czy później władze regionalne podejmą heroiczną decyzję oczyszczenia tej rzeki, w której przed dziesięcioleciem można się było kąpać i łowić wcale smaczne ryby. Jeżdżę po Europie i pamiętam, że Ren i Tamiza były niegdyś prawdziwie martwymi rzekami. W ostatnich latach sytuacja radykalnie się zmieniła. Nad Tamizą spotyka się ludzi z wędkami. Radują ich gesty wskazujące na fenomenalne zdobycze. Człowiek się dziwi, że zazwyczaj chłodni Anglicy mogą tak się zapalać uprawiając wcale szlachetną „sztukę wędkarską” w oczyszczonej już rzece. W roku 1980 mogłem na wysokości Bazylei kąpać się w niegdyś zatrutym Renie. Jestem świadomy tego, że walka z zanieczyszczeniami okazuje się niezwykle kosztowna. To prawda. Prawdą jednak jest i to, że zwalczanie chorób jest jeszcze kosztowniejsze. Wniosek ten okazuje się dość banalny, ale cenny. Wynika on bezpośrednio z uprawianej przeze mnie „sztuki podróżowania”... Po Zagłębiu, po Polsce i po

świecie.



Profesor Włodzimierz Wójcik (1932-2012) ukończył polonistykę na Uniwersytecie Jagiellońskim, gdzie pracował w latach 1969-1973. Od 1973 roku związany z Uniwersytetem Śląskim, organizował nowo powołany Wydział Filologiczny. Był prodziekanem (1973-1975, 1977-1978) i dziekanem Wydziału Filologicznego (1984-1987), dyrektorem Instytutu Literatury i Kultury Polskiej (1987-1991), twórcą i kierownikiem Zakładu Literatury Współczesnej (1981-2002). Przewodniczył Radzie Naukowej Instytutu Literatury i Kultury Polskiej (1987-1991). Koordynował badania w Uniwersytecie Śląskim nad literaturą

polską XX w. Był członkiem Komisji Historycznoliterackiej PAN – oddziałów w Krakowie i Katowicach, Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza, Związku Literatów Polskich i Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego. Przez wiele lat pełnił funkcję opiekuna naukowego Muzeum Emila Zegadłowicza w Gorzeniu Górnym.

Wkład Polaków w kulturę artystyczną Australii

**II Światowe Forum Nauki Polskiej poza Granicami Kraju,
Pułtusk 2019 r. Materiały z konferencji.**



Bogumiła Żongołłowicz

Bogumiła Żongołłowicz (*Melbourne, Australia*)

(...) dziś, przy końcu XX w. istnieje tylko jedna, jedyna kultura. Kultura ludzka. Ogólnoludzka. I na tę ogólnoludzką kulturę, w każdym punkcie naszej kuli ziemskiej składają się te same i takie same czynniki, żeby wymienić: literaturę, nowe kierunki filozoficzne, strukturę społeczną, muzykę, malarstwo czy ważne zdobycze naukowe (...). Nie ma więc różnych, odrębnych kultur narodowych. Są tylko większe lub

mniejsze wkłady poszczególnych narodów, to po jakie лихо kleci się w Australii ten sztuczny i nierealny problem „wielokulturowości”.

Tak pisał 40 lat temu na antypodach dziennikarz Ludwik Kruszelnicki, lwowianin z Wollongong.

Przed wielokulturowością (*multiculturalism*) była asymilacja (*assimilation*), która okazała się trudna. Australia, zagrożona japońską inwazją, słaba militarnie, politycznie i ekonomicznie przystąpiła po drugiej wojnie światowej do realizacji programu emigracyjnego. Społeczeństwo jednak z niechęcią podchodziło do *New Australians*, których tylko w latach 1945-1965 przybyło dwa miliony.

W 1959 r. podczas dorocznej Konwencji Obywatelskiej (Australian Citizenship Convention) w Canberze padło słowo „integracja” (*integration*). W 1963 r. pojawiło się określenie trzecia kultura (*third culture*) dla zobrazowania czegoś nowego, powstałego z połączenia kultury brytyjskiej z elementami kultury emigrantów różnych narodowości. W 1973 r. wydany został dokument Immigration Reference Paper, stwierdzający m.in., że każda grupa etniczna ma prawo do pielęgnowania dorobku kulturowego uczestnicząc jednocześnie w życiu całego narodu. Za ojca australijskiej polityki wielokulturowości uznaje się

polskiego socjologa prof. Jerzego Zubrzyckiego. Zubrzycki z czasem zaczął wypowiadać się za kulturowym pluralizmem (*cultural pluralism*). Dziś mówi się w Australii o kulturowej różnorodności (*cultural diversity*). Polacy zajmują w niej znaczące miejsce. Choć ich liczba z roku na rok spada, są bardziej widoczni niż grupa powojenna. Wiążę się to z całą pewnością z wyższym poziomem ogólnego wykształcenia, kwalifikacjami zawodowymi, nierzadko bardzo dobrą znajomością języka angielskiego. Lista ludzi sztuki, którzy zaistnieli w Australii, obejmuje blisko dwieście nazwisk. Malarzy, rzeźbiarzy i grafików o ugruntowanej pozycji wymienić można około dwudziestu. I o nich tu będzie mowa.

Pierwszym Polakiem, który odcisnął ślad na sztuce Australii był **Feliks Terlecki**, żołnierz legionu polskiego na Węgrzech. W 1857 r. przybył do Melbourne, gdzie zajął się snycerstwem. Jego dziełem jest kunsztowna rama do atlasu Jamesa McKaina Meeka („Historical and Descriptive Atlas of the British Colonies in Continental and Insular Australia”) według projektu Jamesa Martina. Atlas przedstawia skróconą historię brytyjskich kolonii w Australii: mapy, tabele statystyczne, teksty i portrety historyczne oraz pieczęcie. Terleckiemu przypisuje się też rzeźby zdobiące masywny kredens zaprojektowany i wyprodukowany przez Petera McLeana, uznawany za najpiękniejszy i najciekawszy mebel, jaki kiedykolwiek wyprodukowano w stanie Wiktorii. W 2010 r. na aukcji Sotheby’s Australia kredens Petera

McLeana osiągnął cenę pół miliona dolarów.

W 1862 r. do Australii przyплыł **Gracjan Józef Brojnowski**. Po ucieczce, z rodzinnych Walichnowów k. Wielunia przed wcieleniem do armii pruskiej, znalazł się w Londynie, skąd potem udał się do Wiktorii, w której panowała gorączką złota. Do historii przeszedł jako artysta-malarz, ornitolog, obrońca australijskiej fauny. Przygotował m.in. tekst i barwne litografie ponad 700 australijskich ptaków do sześciotomowego dzieła w formacie in folio *The Birds of Australia* (1889-1891). Nazwisko Brojnowski jest dobrze znane w Australii. Jeden z sześciu synów Gracjana, Felix, został

naczelnym kreślaczem w departamencie spraw wewnętrznych w Canberze. Rysował pierwsze plany przyszłej stolicy.

W dwadzieścia lat po Brojnowskim na antypody przybył z rodzicami i rodzeństwem łodzianin **Jan Radecki**. W 1909 r. został głównym projektantem witraży w firmie J. Ashwin & Company, a po jedenastu latach jej właścicielem. Był to największy zakład szklarski w Sydney, cieszący się dużą renomą. Prace Radeckiego, sceny i epizody z Biblii, można oglądać w wielu kościołach Australii. W samym sercu Sydney - przy Martin Place - stoi Commonwealth Savings Bank. Sufit głównej sali

zdobią witraże ilustrujące „podstawowe źródła bogactwa” kraju: wypas owiec i bydła, rolnictwo, górnictwo, żeglugę i budownictwo obok typowych scen bankowych.

Genialne błękitne niebo, papugi Rosella i owce z merynosów wyrażają optymizm i dumę, pewność, która miała zniknąć w kryzysie lat trzydziestych.

W Bibliotece Stanowej Nowej Południowej Walii - najstarszej bibliotece w Australii - wzrok przykuwa „okno Williama Caxtona” (1941 r.) - również projekt i wykonanie firmy Radeckiego.



Okno Williama Caxtona (1941 r.), projekt i wykonanie firmy Radeckiego, Biblioteka Stanowa Nowej Południowej Walii, fot. E. Chylewska

Radecki posiadał naturalną umiejętność rysowania postaci i posługiwania się technikami malowania na szkle. Kolor wykorzystywał jako „narzędzie” kompozycyjne. Był aktywny zawodowo do późnej starości. W 1946 r. w „The Australian Women’s Weekly” ukazał się artykuł, w którym czytamy, że w firmie przy 31 Dixon Street w Haymarket, gdzie dzień zaczyna się od powitania w języku polskim, „piękno i jakość wykonania liczy się bardziej niż zysk”.

Emigracja polska na piątym kontynencie do wybuchu drugiej wojny światowej nie przekraczała 3 tysięcy osób. Po wojnie urosła do 65 tysięcy. To „właśnie ta grupa ukształtowała powojenną Polonię australijską, gdyż późniejsze fale jedynie ją uzupełniały i różnicowały” – pisał socjolog Jan Lencznarowicz.

W 1948 r. przybył do Australii **Aleksander Szołomiak** z Sambora. Osiadł na Tasmanii. Uprawiał malarstwo portretowe, religijne, pejzażowe i rodzajowe. W latach 50. wykonał kilka replik wizerunków Elżbiety II. Jeden z nich wisi w sali reprezentacyjnej ratusza w Launceston. „Queenie” mówią o niej pracownicy urzędu, jest obecna na każdej ceremonii naturalizacji. Szołomiak parał się również rzeźbą i dekoracją rzeźbiarską architektury. Figura Matki Boskiej Zwycięskiej ze szklanego włókna wieńczy wieżę kościelną w Lutanie. Budynek oddziału położniczego głównego szpitala w Launceston zdobi dwumetrowa płaskorzeźba z brązu przedstawiająca matkę z dzieckiem („Mother & Child”). Żelbetonowa dziewczyna przypominająca warszawską Syrenkę wita turystów w Binnalong Bay (St. Helens). Prace Szołomiaka można znaleźć w wielu obiektach publicznych na Tasmanii.

Na liście światowego dziedzictwa UNESCO znalazł się dorobek twórczy **Józefa Stanisława (Stana) Ostoj-Kotkowskiego**. Ostoja-Kotkowski rodem z Golubia był malarzem, projektantem tkanin, fotografem, filmowcem,

rzeźbiarzem, muralistą, wynalazcą, eksperymentatorem, scenografem teatralnym, realizator dźwięku, pedagogiem, pisarzem, grafikiem komputerowym, twórcą sztuki laserowej; jednym z największych artystów polskich i australijskich XX wieku, artystą o światowej renomie; silnym indywidualistą i doskonałym autopromotorem.

Mieszkał w Stirlingu koło Adelajdy. W latach sześćdziesiątych odbył wiele podróży po Australii, zwłaszcza jej pustynnych terenach. Pisał:

Zobaczyłem wtedy w naturze zjawiska tak niesamowite, że trudno mi było wprost uwierzyć, że są prawdziwe. Odkryłem we wnętrzu tego kraju potęgę światła, które doprowadziło mnie do lasera.

Był pierwszym artystą na świecie, który użył efektów laserowych w teatrze i w operze.

Tworzył rzeźby, freski, luminacje w różnych budynkach użyteczności publicznej w Melbourne, Perth, Adelajdzie i Canberze, abstrakt na szklistej emalii, kolaże optyczne, grafikę komputerową, artystyczne fotografie. Zaprojektował pomnik ofiar Katynia w Adelajdzie i pomnik Tadeusza Kościuszki w Cooma.

Za wkład w sztukę wizualną (*For service to visual arts*) odznaczony został Orderem Australii (1992). Kraj wyróżnił go medalem „Zasłużony dla Kultury Polskiej” (1991).

Z Adelajdą związani byli również bracia **Dutkiewiczowie: Władysław i Ludwik** ze Starej Soli, obaj zaliczani do najbardziej postępowych artystów z okresu powojennego w Australii Południowej, obaj impresjoniści i abstrakcyjniści, obaj członkowie Royal South Australian Society of Arts. W Polsce żył i tworzył ich brat Jan.

Władysław Dutkiewicz był malarzem, rzeźbiarzem, pisarzem, aktorem, scenografem i reżyserem teatralnym. Założył Art Studio Player. Wystąpił jako aktor w kilku dramatach telewizyjnych w Melbourne. W latach 50. i 60. był uważany za lidera sztuki współczesnej w Adelajdzie. Przywiózł do Australii europejską wrażliwość. W jego ślady poszła trójka z pięciorga dzieci: Michał - artysta komercyjny, Adam - krytyk sztuki, historyk i malarz, autor biografii ojca i stryja oraz Ursula - artystka-ceramik i rzeźbiarka.

Ludwik Dutkiewicz przez 30 lat pracował w Botanic Gardens of South Australia jako ilustrator. Wykładał w South Australian School of Art, zanim zajął się filmem eksperymentalnym.

Zarówno Władysław jak i Ludwik byli w monachijskim

uniwersytecie UNRRA uczniami **Maksymiliana Feueringa**, kluczowej postaci powojennej emigracyjnej rewolucji kulturalnej na piątym kontynencie. Urodził się w ortodoksyjnej rodzinie żydowskiej we Lwowie. Studiował w Rzymie i Paryżu, gdzie przez wiele lat mieszkał. Przed wojną wykładał na Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. Związany z ugrupowaniem artystycznym „Nowa Generacja”. Oficer polskiej armii. Jeniec obozu w Murnau. Jego żona i rodzice zginęli w obozach koncentracyjnych. Nie widząc dla siebie miejsca w Europie wyemigrował w 1950 r. do Australii.

Był bardzo zdyscyplinowanym malarzem, ambitnym i zaangażowanym nauczycielem. Uczył rysunku i malarstwa w swoich pracowniach w Bellevue Hill i Woollahra oraz w ramach zajęć dla dorosłych na Uniwersytecie Sydnejskim. Malował szybko. Powstanie każdego nowego obrazu poprzedzały głębokie przemyślenia i wiele szkiców. Kiedy jednak sięgał po pędzel, miał pełną jasność co do formy, kompozycji i koloru. Choć jego obrazy są impresjonistyczne i na wpół abstrakcyjne, odzwierciedlają klasyczne wykształcenie artysty. Jego prace prezentowano na ponad 100 wystawach na całym świecie.



Paul Juraszek, The Sun & The Moon, 1989, fot.. B. Żongołowicz

Z pierwszą falą emigracyjną przybył do Australii jeszcze jeden artysta urodzony w rodzinie żydowskiej, **Feliks Tuszyński** z Płocka. Samouk, również dotknięty tragizmem wojny cierpienie wyrzucał z siebie pędzlem i... patykiem. Dziesięć lat temu podarował Muzeum Mazowieckiemu w Płocku, ponad 200 prac, w tym obrazy i rysunki, a w 2013 Muzeum Diecezjalnemu kolekcję 50 obrazów olejnych poświęconych przeżyciom wojennym. Część swojego artystycznego dorobku przekazała do płockiemu muzeum również żona Feliksa, lublinianka **Danuta Michalska**, przybyła do Australii w połowie lat osiemdziesiątych.

Zwrócono uwagę, że

w swojej twórczości angażuje się w problematykę społeczną. Nie ilustruje, lecz przedstawia własną wizję przeżyć, w której podkreśla klimat i atmosferę otaczającego ją świata. Interesuje ją malarska forma grafiki, stąd poszukiwanie nowych, mało znanych rozwiązań warsztatowych, jak ksylotypia czy centografia. (...). Prace przygotowuje dużymi cyklami starając się rozwiązać zamierzony cel.

Z wymienionej powojennej szóstki najwcześniej usłyszałam o **Kotkowskim**. Niestety, nie poznałam go. Częste podróże po wielkim kontynencie dla początkującej emigrantki nie wchodziły z wielu powodów w grę. Na teren posiadłości rodziny Bootów w Stirlingu, od której Kotkowski wynajmował cottage, weszłam już po jej sprzedaży, w rok po śmierci artysty. Klamka drzwi do studia, w wolno stojącym baraku, puściła pod lekkim naciskiem. Ściany świeciły pustką. Działał telefon.

Do Launceston, gdzie mieszka wdowa po **Aleksandrze Szołomiaku**, wybrałam się, gdy przyszło mi opracowywać hasło do Polskiego Słownika Biograficznego. Kiedy odwiedziłam **Władysława Dutkiewicza**, malował „taniochę” jak definiował akwarele, bo tylko na nią było go stać. Prosił, abym postawiła mu piwo. Z siostrzenicą **Feuerringa** nawiązałam korespondencję,

raczkującą angielszczyzną. Spotkałam się z dużą wyrozumiałością, czego dowodem opasała teczka w moim posiadaniu z materiałami tego wybitnego malarza. **Feliksa i Danutę** miałam na miejscu, w Melbourne, gdzie mieszkam. Mogłam podziwiać ich artystyczny dorobek przy okazji każdej wizyty. Ściany większości pomieszczeń ich domu obwieszane były ich własnymi pracami. Feliks zmarł trzy lata temu. Danucie zły stan zdrowia nie pozwala już tworzyć.

Władysław Dutkiewicz uznawany jest za duchowego założyciela Polskiej Fundacji Artystycznej powstałej w 1978 r. w Melbourne, najbardziej znaczącej organizacji skupiającej twórców. Grupa jego bliskich przyjaciół postanowiła zorganizować pokaz swoich prac, aby pomóc choremu wówczas artyście. Cel nowej fundacji był prosty: promocja polskich artystów wśród społeczności australijskiej i promocja artystów australijskich wśród społeczności migrantów mieszkających w Australii. Fundacja dążyła między innymi do stworzenia kolekcji, która cieszyłyby kolejne pokolenia. Zamiar ten zrealizowano częściowo. Z braku stałej siedziby eksponowała zbiory w różnych placówkach. Niestety, część obrazów zaginęła.

PFA organizowała szereg wystaw tematycznych, warsztatów dla artystów. Prowadzi aukcje sztuki. Redaguje kwartalnik RAMA. W 2001 r. zorganizowała pierwsze Międzynarodowe Biennale Rysunku im. **Tomasza Ostrowskiego**, który zapisem

testamentowym podbudował finanse organizacji. Napłynęło 128 zgłoszeń z 14 krajów. Tegoroczne biennale - dziesiąte - ma być ostatnim. Członkowie PFA starzeją się, a młodzi artyści nie czują potrzeby zrzeszania się w polonijnej organizacji, choć nastawionej na szerokiego odbiorcę.

Z PFA związane były **Lidia Grobicka**, malarka i graficzka bardzo polska w swoim dziele, przybyła do Australii z Londynu w latach sześćdziesiątych i **Ewa Pachucka**, emigrantka lat siedemdziesiątych, artystka uprawiająca sztukę włókienniczą w formie przestrzennej. „Recz wyrasta spod jej ręki z szybkich określonych ruchów szydełka” - pisał o pracy Pachuckiej jeden z recenzentów. Z połączenia włókien naturalnych i syntetycznych powstała m.in. praca „Arkadia: krajobraz i ciała” (1972-1977). Jednym z publicznych zleceń, jakie Pachucka otrzymała, była rzeźba z piaskowca „Skamieniały krajobraz architektoniczny” dla Ogrodu Rzeźby Zewnętrznej w nowym budynku parlamentu w Canberze. Mąż rzeźbiarki, Roman, pracował jako konserwator dzieł sztuki w Tasmańskim Muzeum i Galerii Sztuki w Hobart. W 2000 r. Pachuccy przenieśli się do Francji.

Łukasz Kazimierz Żywuszko (Lukas Zywaszko, Z.K. Lukas), rzeźbiarz, konserwator i rekonstruktor rzeźby zabytkowej, w swojej drugiej podróży studyjnej dookoła świata, przebywał w Australii, gdy w Polsce ogłoszono stan wojenny. *A Polish version of Henry Moore* napisał o nim jeden z krytyków. Przez szereg lat

był jedynym konserwatorem pomników zatrudnionym przez melbourneński ratusz. Spośród kilkudziesięciu obiektów, które odnowił, jest słynny pomnik królowej Wiktorii odsłonięty w Melbourne w 1907 r.

Emigracja lat osiemdziesiątych przyniosła wiele nazwisk polskich artystów, żeby wymienić tylko **Barbarę Lichą, Piotra Ożerskiego, Henryka Szydłowskiego, Jarka Wójcika, Bolka Markowskiego, Ryszarda Konikowskiego, Janusza Kuźbickiego, Andrzeja Działika, Bogdana Fijałkowskiego, Andrzeja Bartoszewicza, Mariolę Smarzak, Jerzego Michalskiego, Wojciecha Pietranika**, dziś o ustabilizowanej pozycji, w niektórych przypadkach osiągających wysokie ceny ze sprzedaży własnych dzieł sztuki.

W moim referacie nie może zabraknąć akcentu aborygeńskiego. **Julianna Bednarowicz** z Alice Springs stworzyła serię portretów we współpracy ze znanymi artystami aborygeńskimi: Daniel Rex Japananngka, Kudditji Kngwarreye, Gracie Morton, Polly Ngale, Mary Dixon Nungurray, Gloria Petyarre, Kathleen Petyarre, Violet Petyarre, Judy Watson, Long Jack Philipus, Paddie Sims i Willie Tungurray, Unikatowe wizerunki połączyła z ich własnymi pracami. Mąż Julianny, Ryszard, jest autorem książki „Sztuka Aborygenów”.



Kinga Rypińska, Captain Kangaroo, fot. B. Żongołowicz

Motywy australijskiej flory i fauny znajdujemy w malarskich fantazjach **Kingi Rypińskiej** (w Australii od 1993). Rzeźby z brązu autorstwa **Piotra Ożerskiego** stoją w centrum Sydney.

Drugie pokolenie Polaków w Australii, poza wspomnianymi wcześniej dziełami **Władysława Dutkiewicza** reprezentuje również **Paul Juraszek**. Jego imponująca praca „Słońce i księżyc” (The Sun & The Moon, 1989) znajduje się w rejestrze

National Trust m.in. dlatego, że postrzegana jest jako pierwsza rzeźba postmodernistyczna w Melbourne.

Osiągnięć artystów polskich i polskiego pochodzenia i ich wpływu na kulturę artystyczną Australii nie da się - choćby w największym skrócie - ująć w ramy kilkunastominutowego referatu. Można je jedynie zasygnalizować. Tym bardziej, że podstawową trudnością, na jaką napotkałam jest brak opracowań na ten temat. Jedyne znany mi tekst, to szkic dziennikarza i pisarza Andrzeja Chciuka: „Dorobek twórczy Polaków w Australii i Nowej Zelandii”, opublikowany w tomie drugim „Pamiętnika Literackiego” w 1978 r.

Największe miasta australijskie dwudziestopięciomilionowego kraju są w światowej czołówce w dziedzinie życia kulturalnego. Mieszka w nich ponad 100 tysięcy osób polskiego pochodzenia. W wielu galeriach australijskich, państwowych i prywatnych, znajdują się prace Polaków, ale ogół społeczności o nich nie wie. Ta wiedza jest znikoma na obu półkulach.

Czas to zmienić! W realizacji tej misji widzę rolę zarówno pokolenia, które odchodzi, jak i młodych. Pokoleniowa współpraca powinny zaowocować znaczącą publikacją.

Fotografie pochodzą z archiwum autorki

Dr Bogumiła Żongołłowicz humanistka, dziennikarka, pisarka, dokumentalistka. Od 1991 r. w Australii. Absolwentka polonistyki Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Słupsku 1974-78. Ukończyła Podyplomowe Studium Filologii Polskiej Uniwersytetu Gdańskiego 1983-84, Podyplomowe Studium Dziennikarstwa i Edytorstwa Uniwersytetu Warszawskiego 1986-88, Royal Melbourne Institute of Technology (Professional Writing and Editing) 1995-98. W 2003 r. uzyskała stopień doktora filozofii w zakresie slawistyki (Doctor of Philosophy - PhD) na Macquarie University w Sydney.

Nauczycielka w słupskich szkołach podstawowych 1978-84; starszy inspektor ds. organizacji i wydawnictw Stowarzyszenia Społeczno-Kulturalnego „Pobrzeże” w Słupsku 1984. Od 1985 r. dziennikarka i sekretarz redakcji tygodnika „Konfrontacje” w Słupsku. W 1989 r. podjęła współpracę z redakcją „Gońca Pomorskiego” - pierwszej prywatnej gazety codziennej w regionie Pomorza Zachodniego i Środkowego. Objęła funkcję kierownika oddziału w Słupsku, który sama sformułowała. Przecierała wraz z kolegami szlaki dla nowoczesnego dziennikarstwa w Polsce. Była współzałożycielką i prezenterką jednego z pierwszych programów telewizji osiedlowej w kraju - Studio BPL.

Autorka książek: „Lato w Surrey” (1984); „Andrzej Chciuk. Pisarz z antypodów” (1999); „Śmierci nie moje” (2002); „Kabaret Literacko-Satyryczny 'Wesoła Kookaburra'” (2004); „O pół globu od domu. Obraz Polonii australijskiej w twórczości Andrzeja Chciuka” (2007); „Śmierci mi bliskie” (2008); „Jego były 'Czerwone maki...'. Życie i kariera Gwidona Boruckiego - Guido Lorraine'a” (2010); „(Nie)śmiertelnie” (2016); „Konsul. Biografia Władysława Noskowskiego” (2017), „(Nie)śmiertelnie” (wyd. II) z komentarzem Adama Kubackiego (2018); „(Nie)śmiertelnie” (wyd. III) z komentarzem Artura Cembika (2018).

Ważniejsze prace redakcyjne i edytorskie: „Andrzej Gawroński, Mój punkt widzenia”, (1999); „Andrzej Gawroński, Zapiski z dwóch światów” (2001); „Listy z Australii Romana Gronowskiego” (2005); „Krystyna Jackiewicz, Poezje wybrane” (2006); „Ludmiła Błotnicka, Przez zielona granicę” (2007); „Władysław Noskowski, Dziennik z pierwszych tygodni w Australii” (2011), „Griffith - Sydney. Listy. Zbigniew Jasiński - Roman Gronowski 1954-1959” (2017); „Lidia Duda-Groblicka, Mój świat” (2017).

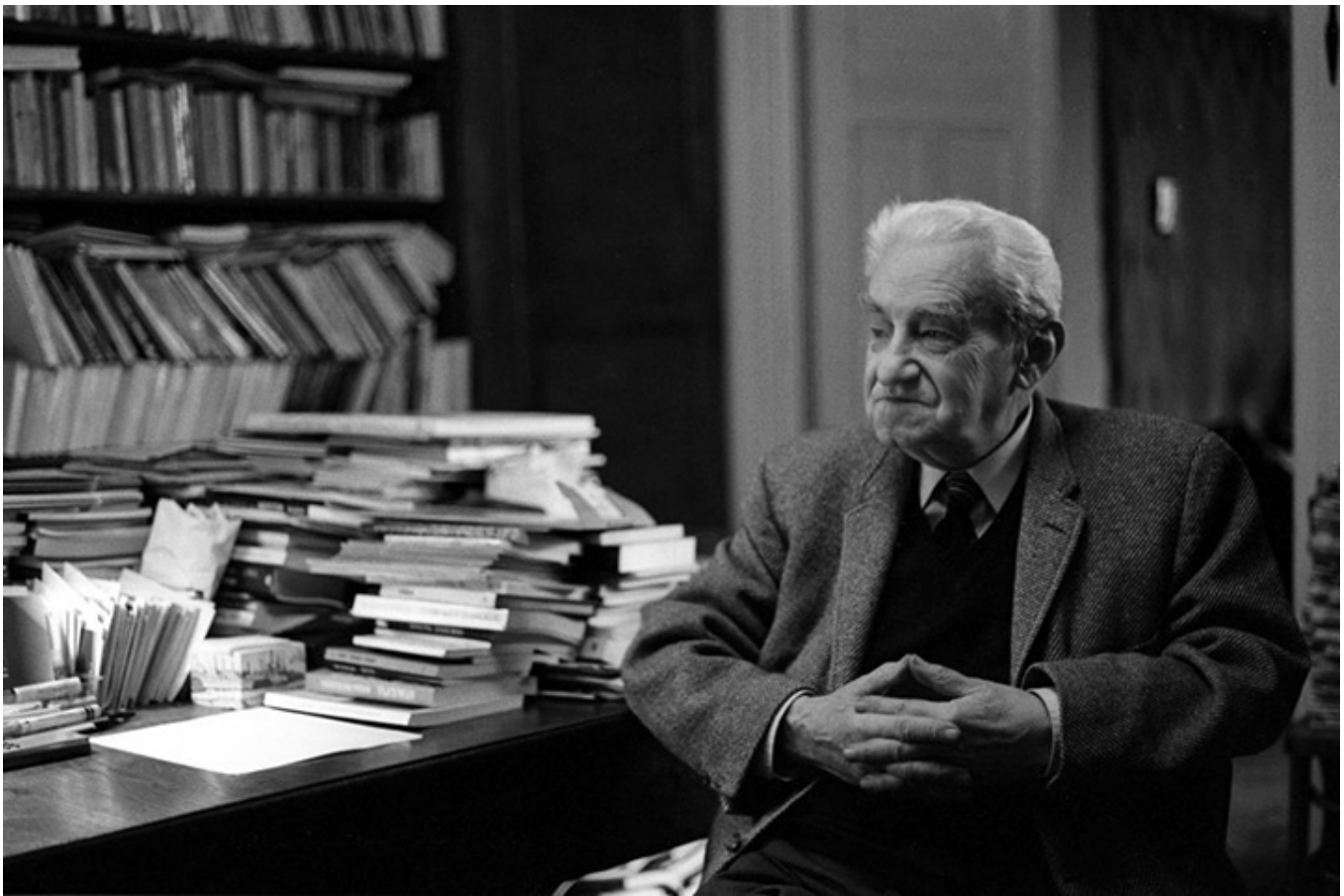
Współpracownik Sekcji polskiej Radia SBS wielokulturowej Australii (1991-), Research School of Social Sciences, Zakładu Biografistyki Polonijnej PUNO, Paryż (1997-1999), The Australian National University, Canberra (1997-2005), redakcji Encyklopedii polskiej emigracji i Polonii, Toruń (2003), Zakładu

Polskiego Słownika Biograficznego, Instytut Historii PAN, Kraków (2009-). Przewodnicząca jury Konkursu Satyrycznego im. Andrzeja Gawrońskiego Melbourne (2007-2016).

Medal Honorowy „Polonia Semper Fidelis” za zasługi i pomoc przy opracowaniu Ilustrowanego słownika biograficznego „Polonii świata” (1999). Wyróżniona w Konkursie Historycznym Ministra Spraw Zagranicznych (2018) na najlepsze publikacje promujące historię Polski i historię polskiej dyplomacji; w kategorii najlepsza publikacja w języku polskim z zakresu historii polskiej dyplomacji za pracę Konsul. Biografia Władysława Noskowskiego. Członek Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich (1991-) i Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie (2005-).

Zainteresowania dr Bogumiły Żongołłowicz koncentrują się wokół polskich losów na australijskiej ziemi, szczególnie po II wojnie światowej, wkładu Polaków w rozwój światowej kultury. Poprzez swoją pracę naukową i pisarską działa na rzecz prestiżu Polski i Polonii w Australii.

Znajomość z Jerzym Turowiczem



Jerzy Turowicz redaktor naczelny „Tygodnika Powszechnego”, mieszkanie na Lenartowicza, Kraków 1997 r., fot. www.jerzyturowicz.pl

Florian Śmieja (*Mississauga, Kanada*)

Jerzego Turowicza (1912-1999) znałem kilkadziesiąt, powiedzmy,

czterdzieści lat. Być może, że spotkałem go już za czasów wydawanie pism studenckich w Londynie w latach pięćdziesiątych, kiedy wśród jaskółek z Polski popaździernikowej przybył obok Zawieyskiego, Herberta i Tyrmanda, Kisielewski, Woźniakowski oraz Turowicz.

Odwiedzałem go potem regularnie w Krakowie, w ostatnim pokoju redakcji "Tygodnika Powszechnego" przy Wiślniej 12a. Siedział tam przy zwyczajnym stole zawsze zasłanym stertą czasopism i książek. Koło stołu stała tablica z rozkładem następnego numeru pisma. Towarzyszył mu najczęściej zastępca, Krzysztof Kozłowski, późniejszy minister spraw wewnętrznych w rządzie Tadeusza Mazowieckiego.

Mieszkanie Turowicza było równie pełne czasopism i książek, stojących na podłogach w wysokich stosach. Trzeba było chodzić wśród nich jak bocian. W przedsionku radził Turowicz nie rozmawiać, gdyż był na podsłuchu.

Zawsze znalazł czas by pogawędzić. Giocondowski uśmiech nie schodził mu z twarzy. Miał pogodę i poczucie człowieka światłego, speszonemu młodemu rozmówcy dobrotliwie podpowiadał słowa w momencie zażenowania. Na oferowane do "Tygodnika Powszechnego" teksty reagował od ręki.

Dla mnie i mojej rodziny był zawsze nader gościnnie: raz nawet

zaprosił do swojego mieszkania na nocleg, innym razem do mieszkania córki. Może pamiętał, że przed wojną jeszcze zawędrował z grupą, czy aby nie Odrodzenia, do majątku mojego teścia na Polesiu Wołyńskim. Miałem przyjemność gościć go potem w swoim domu w Kanadzie.

Mimo podeszłego wieku był osobą o dużej żywotności, jak wtedy, kiedy był obecny na zebraniu Stowarzyszenia Pisarzy Polskich w Warszawie w sobotę, a w niedzielę w Krakowie przewodniczył zebraniu obywatelskiemu, mającemu następnie przyjąć nazwę Road.

Przed laty byłem z Michałem Giedroyciem na wykładzie Leszka Kołakowskiego w London School of Economics. W drodze do kolejki podziemnej obaj zgodzili się, że w post-komunistycznej Polsce trzeba będzie postawić Turowiczowi pomnik, jako człowiekowi, który był symbolem mądrej opozycji w najczarniejszych czasach, kiedy jeszcze nie było absolutnie żadnych przebłysków światła nadziei na horyzoncie.

Pamięć i wybaczenie

Rozmowa z siostrą Rut ze Zgromadzenia Sióstr Benedyktynek Misjonarek w Olsztynie (Ewą Kopicz), wnuczką doktora Józefa Kopicza, psychiatry zamordowanego wraz z pacjentami w Lesie Szpęgawskim w nocy z 16 na 17 października 1939 r.

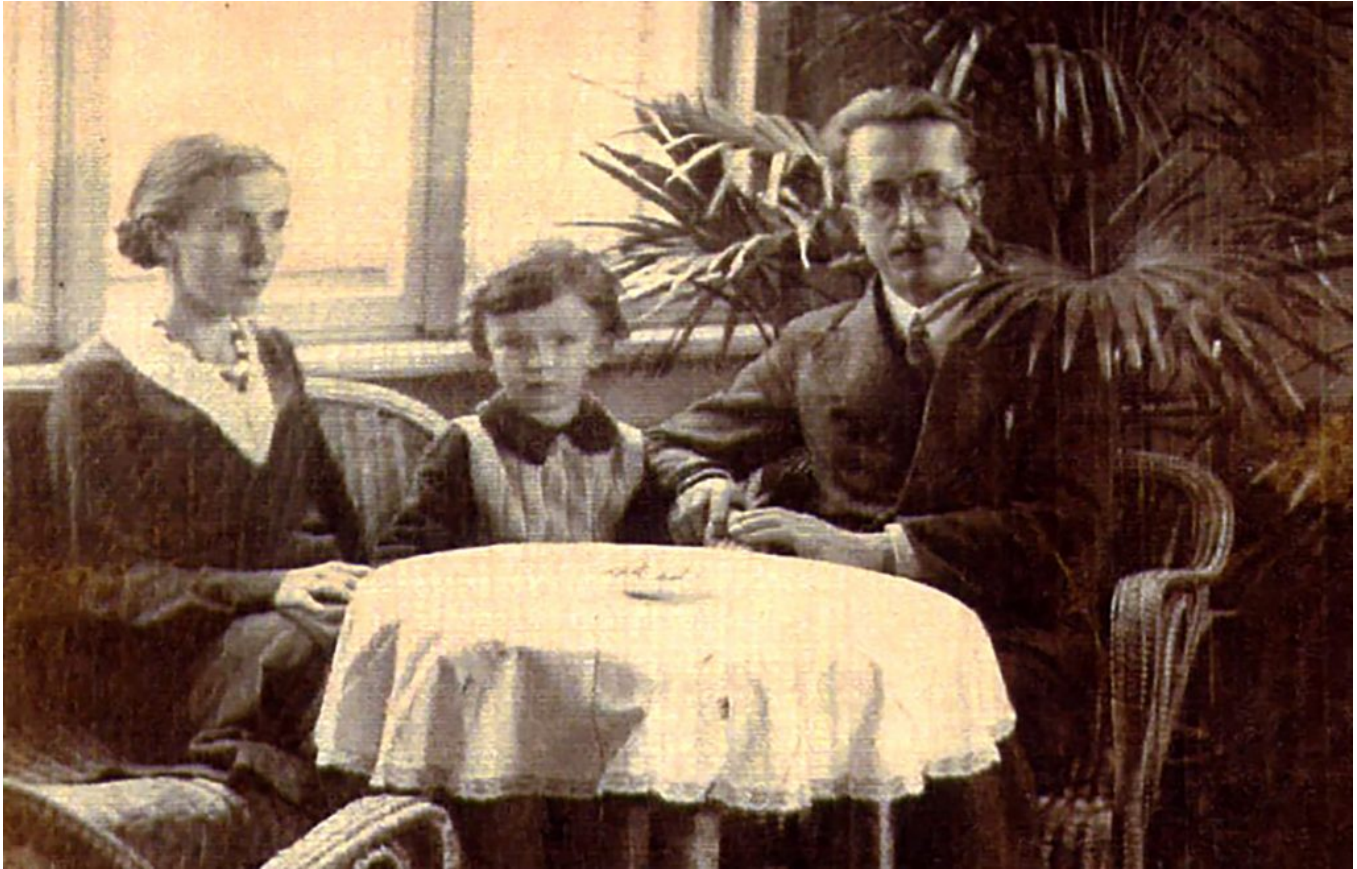


Wnuczka zamordowanego doktora Józefa Kopicza, Ewa Kopicz (siostra Rut) przed pomnikiem w Lesie Szpęgawskim.

Joanna Sokołowska-Gwizdka: Moja babcia Anna z Kopiczów Sokołowska i Twój dziadek Józef Kopicz byli rodzeństwem. Moja babcia zmarła po wyjściu ze stalinowskiego więzienia w 1953 r. Miała 48 lat. Twój dziadek został zamordowany, gdy miał 37 lat. Ani ja, ani Ty ich nie poznałyśmy. Ale to nie znaczy, że ich nie ma w naszym życiu. Co wiedziałaś o dziadku, gdy byłaś dzieckiem?

Ewa Kopicz: Niewiele, bo moje dzieciństwo było zupełnie inne niż obecnie mają dzieci. Ja musiałam być dorosła już w wieku 7 lat. Pamiętam dzień, jak odszedł od nas nasz Tata. Nie rozumiałam dlaczego potem musiałyśmy się z Mamą, wyprowadzić z ukochanego miejsca na Kociewiu, gdzie był nasz dom. Teraz już wiem, że to wszystko było konsekwencją śmierci Dziadka. Tata nie był przygotowany na problemy, które niesie życie, uciekał od nich, nie umiał się z nimi zmierzyć. Nikt go nie nauczył stawiać czoła trudnościom. Jako syn zamordowanego doktora był chroniony przez babcię Halinę, która panicznie się bała, że i jego może stracić. Dlatego jego życie i nasze tak się potoczyło.

JSG: Mówiłaś, że kiedyś pojechałaś z Mamą do Kocborowa i zobaczyłaś skrzydło szpitala, w którym było mieszkanie Twoich dziadków. Jak zapamiętałaś tę wizytę?



Doktor Józef Kopicz, z żoną Haliną i synem Adamem, fot. archiwum rodzinne.

EK: Zabrałam Mamę do Kocborowa już po wstąpieniu do klasztoru. Ona знаła ten zakład. Mówiła mi gdzie mieszkali dziadkowie, pokazywała okna, które należały do ich mieszkania. Obeszliśmy cały szpital. Potem pojechaliśmy do Szpęgawska. Wtedy po raz pierwszy Mama opowiedziała mi historię Dziadka. Byłam wtedy z niego taka dumna.

JSG: Więcej dowiedziałaś się o Dziadku od siostry Twojego Taty, Ewy Kopicz-Kamińskiej, też lekarza psychiatry, której życie było hołdem oddanym zamordowanemu ojcu.

EK: Tak, ale gdy dorastaliśmy, nie utrzymywaliśmy z nią

kontaktów. Mama mi powiedziała, że ona nie żyje. Taką informację przekazał jej Tata. Pewnego jednak dnia, Mama zobaczyła Ciocię w telewizji i mi o tym powiedziała, a ja ją odnalazłam. Potem miałam z nią już częsty kontakt. Odwiedzałam ją jak tylko byłam w Warszawie, często rozmawialiśmy przez telefon, byłam przy niej jak chorowała i leżała w szpitalu. Byłam też na pogrzebie.



JSG: 28 września byliśmy na premierze filmu „Szpeęgawsk 1939” w reżyserii Sebastiana Bartkowskiego. Jest to wstrząsający, fabularyzowany dokument pokazujący jak wyglądała niemiecka Akcja T4 - eksterminacja pacjentów szpitali psychiatrycznych i Akcja Inteligencja - masowe mordowanie księży i nauczycieli podczas II wojny światowej na Pomorzu. Nie można uwierzyć w

skale tego bestialstwa. Jak to możliwe, że niemieccy sąsiedzi, wkładając mundur Wermahtu lub SS stawali się katami swoich polskich sąsiadów, z którymi całe lata mieli dobre stosunki, znali ich rodziny, ich problemy. Gdzie zatem jest granica człowieczeństwa? Proszę, podziel się swoimi refleksjami na temat tego filmu.

EK: Film „Szpęgawsk 1939” był dla mnie ogromnym przeżyciem. Poczułam się jak wnuczka bohatera, człowieka dla, którego drugi człowiek stanowił wartość taką, za którą warto umrzeć. „Nikt nie ma większej miłości od tej, gdy ktoś życie swoje oddaje za przyjaciół swoich” J 15,13-17.

JSG: W filmie jest wątek Twojego dziadka. Pokazana jest scena rodzinna, babcia, dziadek, Twój tata Adam i jego siostra Ewa w salonie przy stole, scena w szpitalu, zgłoszenie się w październiku 1939 r. dziadka do szpitala w Kocborowie, a następnie aresztowanie, tortury i śmierć. Jak odebrałaś te sceny?

EK: Nie oczekiwałam podobieństwa aktora, ale chciałam spotkać Dziadka, którego nigdy w życiu nie miałam. Myślę, że spotkałam.



Pomnik ku czci pomordowanych w Lesie Szpęgawskim - betonowy las, a wśród drzew ścięte pnie z nazwiskami.

Dziadku, Twoja śmierć nie była tylko chwilą, ona pociągnęła za sobą skutki. Każdy Niemiec powinien zrozumieć, że zabijając jednego człowieka zranił tysiące ludzi w drugim i trzecim pokoleniu. Zadał takie rany ludzkości, że po 100 latach będą jeszcze się ciągnąć w ludziach i rodzinach. Tak jak w naszym przypadku. Niemiec, który pociągnął za spust i odszedł z lasu, może z poczuciem spełnionego obowiązku, pozostawił po sobie ścięte drzewa, których „kikuty” przez wieki będą ludziom mówiły o bólu, nienawiści, ale i o bohaterstwie. Ten las, który szumi, opowiada dzieje i ból tysiąca ludzi i ich niedokończoną historię. Chciałam tam klęczeć i w ziemię krzyknąć: „Bądźcie spokojni Polska o was nie zapomni”. Modliłam się, wiedząc, że stoję nad grobem mojego Dziadka. Nie martw się Dziadku, daliśmy radę!

JSG: Czy wybaczyłaś?

EK: Wybaczyłam? Tak, ale nie zapomnę. Będę myśleć o Dziadku bez żalu i będę do niego przyjeżdżać. Dbam też o groby jego dzieci. Modlę się za Nich wszystkich!



W jednym z ponad 30 masowych grobów w Lesie Szpegawskim leży wraz ze swoimi pacjentami doktor Józef Kopicz.

Przypisy: *Doktor Józef Marcelli Kopicz, żona: Halina z domu Szybowicz, dzieci: Adam i Ewa Kopicz, synowa: Jadwiga z domu Dorozińska, wnuki, dzieci Adama: Ewa, Nina, Maciej Kopicz.*

Córka Józefa Kopicza, Ewa Kopicz-Kamińska zmarła bezdzietnie w 2014 roku w Warszawie.



Kadr z filmu „Szpeęgawsk 1939”, doktorostwo Kopicz, scena rodzinna. W postać doktora Józefa Kopicza wcielił się Mariusz Mecka, w rolę jego żony Haliny – Ania Lembicz, dwójkę ich dzieci – Adama i Ewę – zagrały Jana Dołęga i Gordon Gadziejewski.

<http://www.cultureave.com/wp-content/uploads/2019/10/10.-Dr-Kopicz.mp3>

Utwór „Dr Kopicz” z płyty „Ze strychu... Z Szuflady... Z Piwnicy...”

Słowa – Mariusz Mecka (filmowy dr Józef Kopicz)

Muzyka – Sławomir Kubkowski

Wokal – Adam Biernat

Gitara- Bartosz Gołębiowski

Gitara basowa – Karol Gołębiowski

Gitara, perkusja – Sławomir Kubkowski



Rodzice: Agnieszka z Danielewiczów i Rudolf Koppitzsch, chłopcy: w środku Józef Marcełi Kopicz, z lewej Jan Kopicz, dziewczynki, od lewej lewej Anna później Sokołowska, Maria, primo voto Zdanowicz, secundo voto Kleinert, na dole siedzi Gertruda, później Berszakiewicz, fot. archiwum rodzinne.

Józef Marcełi Kopicz urodził się 31 stycznia 1902 r. w Lidzbarku Welskim, jako syn Rudolfa Koppitzscha i Agnieszki Danielewicz herbu Ostoja. Był wnukiem Powstańca Styczniowego, Józefa Danielewicza, przybyłego po upadku Powstania z Litwy do Prus Wschodnich. Miał brata Jana i siostry: Marię, Annę i Gertrudę. Dzieciństwo spędził w Lidzbarku Welskim. Jako nastolatek, w latach 1918-19 należał do

organizacji wojskowej - Straży Ludowej w Brodnicy. Ukończył wydział lekarski na Uniwersytecie Poznańskim. Uzyskał tytuł doktora medycyny ogólnej i odebrał dyplom 23 grudnia 1925 roku z rąk rektora Uniwersytetu, prof. Antoniego Jurasza. W latach 1925 -1928 roku pełnił funkcję ordynatora Krajowego Zakładu Psychiatrycznego w Świeciu. W 1928 roku przyjął propozycję starosty pomorskiego i podjął pracę na oddziale psychiatrycznym szpitala w Wejherowie. Fascynował się psychiatrią, wciąż poszerzał swoją wiedzę, był też autorem publikacji na temat chorób psychicznych i metod ich leczenia. Zwrócił więc na siebie uwagę doktora Stanisława Kryzana - dyrektora zakładu psychiatrycznego w Kocborowie. Po likwidacji szpitala w Wejherowie dyrektor Kryzan zatrudnił Józefa Kopicza jako swojego zastępcę. W 1933 roku Józef Kopicz objął stanowisko prymariusza w Kocborowie. Przyjechał z żoną Haliną (z domu Szybowicz) i urodzonym w Wejherowie synem Adamem. W 1934 roku w Kocborowie przyszła na świat córka Ewa. Doktor Kopicz oprócz pełnienia funkcji dyrektora do spraw medycznych pracował też na oddziałach VII i XIX. Jego publikacje wskazują na to, że zajmował się psychozami z kręgu schizofrenii oraz psychozami o podłożu zaburzeń somatycznych. Stanowczo sprzeciwiał się eugenicie, Zachowały się też jego publikacje z Tadeuszem Bilikiewiczem - ojcem polskiej psychiatrii.

W sierpniu 1939 roku Halina Kopicz wraz z dziećmi wyjechała na wakacje, Józef Kopicz natomiast zgłosił się do mobilizacji. Nie

został jednak wcielony do armii, więc dołączył do rodziny. Po wybuchu wojny wszyscy udali się do Wolsztyna koło Poznania, gdzie mieszkała rodzina żony. Nowa dyrekcja zakładu psychiatrycznego w Kocborowie wydała rozporządzenie wzywające Polaków przebywających poza terenem szpitala, aby zgłosili się do pracy. Józef Kopicz, mimo ostrzeżeń, postanowił wrócić do swoich pacjentów. 15 października zgłosił się do biura, skąd skierowano go na pierwsze piętro do SS- Obersturmführera Karla Braunschweiga. Został aresztowany. Przez dobę trzymano go w budynku dyrekcji i poddawano torturom. Wieszano go za związane z tyłu ręce na haku i bito pasami koalicyjnymi, zakończonymi karabińczykami. Kiedy torturowany tracił przytomność cucono go lejąc na niego wodę. Potem trafił do więzienia w Starogardzie Gdańskim. 17 października 1939 został zamordowany wraz z pacjentami w Lesie Szpęgawskim. Jeden z pacjentów, któremu udało się uciec opowiedział po wojnie, że dr Kopicz stał spokojnie nad dołem, który miał stać się grobem, z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Nie próbował ucieczki, został ze swoimi pacjentami do końca.

Córka Józefa Kopicza - Ewa Kopicz-Kamińska (1934-2014) poszła w ślady ojca i została lekarzem psychiatrą. Jej życie było hołdem oddanym ojcu. Tradycję lekarską podjął też syn brata Jana, Marek Koppicz - wybitny kardiolog ze Szpitala Wojewódzkiego w Koszalinie.

Joanna Sokołowska-Gwizdka

O doktorze Józefie Kopiczu i Akcji T4:

<https://www.cultureave.com/oddzial-podrozy-do-nieba/>

Zaduszki i inne
wiersze



Tadeusz Turkowski (*USA*)

ZADUSZKI

Deszcz wtedy taki smutny padał

Jakby to widział co się stało

Najlitościwszy Bóg i płakał

Deszcz wtedy taki smutny padał

Jakby na zawsze zaszło słońce

Jakby nastąpił koniec świata

Deszcz wtedy taki smutny padał

Jakby ktoś umarł albo odszedł

A ten co został po nim płakał

Z POWROTEM

Z powrotem będzie dużo łatwiej

Z powrotem będzie z górki z wiatrem

Z powrotem się nie musisz martwić

Że sił ci może nie wystarczy

Że mi zasłabniesz gdzieś po drodze

Pełnej wybojów niepowodzeń

Z powrotem jeśli trzeba będzie

Zmęczoną wezmę cię na ręce

I ostrożniutko pod twą głowę

Podłożę chmurkę kolorową

Z powrotem nigdy, nigdy więcej

Nie zrani twego moje serce

Z powrotem zawsze, nawet we śnie

Ogrzeje w moich twoje ręce

Mądrzejszy, choć mniej zdarny trochę

Nie spuszczę z oka Cię z powrotem

I serce moje rozszalałe

Bić będzie cicho, albo wcale.

CHCIAŁBYM

Chciałbym, raz na nią spojrzeć z bliska

Chciałbym, przypomnieć sobie wszystko

Chciałbym, naprawić co zbroiłem

Chciałbym, odkupić swoją winę.

Chciałbym, raz na nią spojrzeć z bliska

Chciałbym, zapomnieć o tym wszystkim

Co nie powinno, a się zdarzyło

I nie wiadomo z czyjej winy.

Chciałbym, raz na nią spojrzeć z bliska,

Żeby raz chociaż we śnie przyszła.

Tylko raz jeden, niespodzianie,

Tak, jak ją pierwszy raz ujrzałem.

Chciałbym, wypełnić czas czekaniem

Chciałbym, już nie bić się z myślami,

Chciałbym, już nie żyć marzeniami,

Chciałbym, uwierzyć w niemożliwe:

Jak w to, że przyjdiesz choć na chwilę.

Że, przyjdiesz i usiądziesz przy mnie.

I że, przyniesiesz z sobą chwilę

Tamtego czasu co przeminął...

Że, spróbujemy czas zatrzymać.

STARYM HYBRYDOM

Janowi Pietrzakowi, kolegom i sympatykom

Studenckiego Teatru Hybrydy z lat 60.

U mnie w zasadzie małe zmiany

Ciągle wciąż siły na zamiary

Ten sam garnitur ciągle leży

Na starych gnatach jak ulany.

U mnie w zasadzie małe zmiany

I choć skończyłem z nałogami

Ciągle pamiętam jak na imię

Wszystkie dziewczyny Stefka miały.

Ciągle pamiętam jak z tekstami

Biegłem na Mysią podejrzany

O podły zamach na Socjalizm !!!!

Ciągle zroszone potem czoło

Ciągle się budzę w środku nocy

Z wrzaskiem - "to nie ja," potem zlany.

W pamięci ciągle świeży Katyń

(na czaszkach z ziemi wykopanych

Ruskich kul ślady...)

W pamięci ciągle świeże rany

Te po stoczniowcach, po górnikach

Po Popiełuszkach, po Przemykach.

Po szpiclach, katach, sprzedawczykach,

Po Jaruzelskich, po Michnikach.

W pamięci strofy Wieszców znane

I jak im było tęskno zawsze

“Do kraju tego” wracać Panie.

I żeby „Polska była Polską”

Spełniło się, jak wyśpiewałeś...

U mnie w zasadzie małe zmiany

Ciągle wciąż siły na zamiary

Tylko - zamiary - z biegiem czasu

Jakby - równały się - z siłami.

U mnie w zasadzie małe zmiany

Choć prawdę mówiąc między nami

Ze wszystkich tamtych lat - najlepsze,

Przeżyłem razem z Hybrydami

Ze wszystkich tamtych lat - najlepsze,

Przeżyłem przecież razem z Wami.



Tadeusz Turkowski był aktorem legendarnego Studenckiego Teatru "Hybrydy" w Warszawie w latach 1961-1973. Wraz z Janem Pietrzakiem i Janiną Ostałą występował w pierwszym programie kabaretowym „Kąpiel w Rubikonie” (1961). Następnie w programach kabaretowych Wojciecha Młynarskiego “Radosna Gęba Stabilizacji” (1962) i “Ludzie to Kupią” (1963). Jesienią 1963 roku Wojciech Młynarski odchodzi z teatru „Hybrydy”, do współpracy przychodzą: Jonasz Kofta, Stefan Friedmann i Maciej Damięcki. Zaczęła się era Jana Pietrzaka i Jonasza Kofty (1964-1968). Wraz ze Stefanem Friedmannem i Maciejem Damięckim, Tadeusz Turkowski kontynuuje swój udział programach kabaretowych Jana Pietrzaka i Jonasza Kofty. Były

to najlepsze lata teatru „Hybrydy”.

Zobacz też:

<http://www.cultureave.com/wiersz-pogrzeb-ziemi/>

O księdzu-poecie,
który na jarzębinie się
nie znał



Ks. Jan Twardowski, fot. mat. prasowe.

Florian Śmieja (*Mississauga, Kanada*)

Wśród miłych pamiątek przechowuję niewielką zieloną książeczkę, którą wręczył mi ks. Jan Twardowski, kiedy zawiozłem mu jakąś przesyłkę od Jerzego Pietrkiewicza. Po nabożeństwie u wizytek poszedłem do skromnego pokoiku na zapleczu.

Ten zbiorek anegdot pod tytułem “Niecodziennik” został jako wspomnienie bardzo uroczego człowieka, który się nie znał na jarzębinie. Oto jego słowa.

Przypomniał mi się mój profesor od przyrody. Uczyłem się u niego prywatnie. Był na emeryturze i miał czas. Oprowadzał mnie po lasach. Spotkane drzewo witał po łacinie i po polsku, zdejmując przed nim kapelusz. – Witam cię „*Populus alba*” – topolo, witam cię „*Salix tremula*” – wierzbo, witam cię „*Fraxinus excelsior*” – jesionie wzniosły. Przy okazji cytował wiersz angielskiego poety z początku XIX wieku – Tennysona, fragment poematu „*Córka ogrodnika*”, o dziewczynie, która miała włosy bardziej czarne niż pączki jesionu. Olchę nazywał drzewem okrytym chwałą i opowiadał o bitwie w Olszynie Grochowskiej, o tym, że przechodziła z rąk do rąk, a kiedy Polacy ulegli – olchy wskazywały na niebo, jak na źródło nadziei. Grab nazywał dyskretnym, wspomniał szpaler grabowy w Sosnowicy, po którym spacerował Kościuszko z panną Ludwiką. Uczył ją rysunków i zakochał się w niej. Mój profesor szeptał po cichu: „Amor Kościuszcze nie sprzyjał”. Musiałem wiedzieć, że topola czarna nazywa się sokorą, wiąz ma liście krzywe, że platan jest drzewem Sokratesa, a leszczyna jest bliską kuzynką grabu, olchy i brzozy. Kiedy nie wiedziałem, że jarzębina potrafi wyżywić całe stado ptaków i opóźnić ich odlot, powiedział – Jak ty sobie dasz radę w życiu? Przecież nawet na jarzębinie się nie znasz.

Radził mi – Nie pisz o ludziach, tylko o drzewach.

Powrót z Kazachstanu



Franceska Michalska

Marek Klecel (*Warszawa*)

Wśród licznych świadectw o deportacjach Polaków na Wschód w głąb Rosji wspomnienia Franceski Michalskiej, zawarte w niewielkiej książce pod zaskakującym tytułem „Cała radość życia. Na Wołyniu, w Kazachstanie, w Polsce”, wyróżniają się dość odrębnym tonem i sposobem przedstawienia tych straszliwych często przeżyć podczas aresztowań, wysiedleń i pobytów w obozach. Zostały one spisane po dłuższym czasie jako rezultat życiowych przemyśleń, zachowując tym samym pewien refleksyjny dystans do opisywanych wydarzeń.

Autorka pochodzi z Wołynia, z tej jego części, która po Traktacie Ryskim w 1921 roku znalazła się po stronie sowieckiej. Miliony Polaków na Kresach zostały wtedy pozostawione radzieckiej władzy. Rodzina autorki po klęsce wielkiego głodu na Ukrainie na początku lat 30. została wywieziona do Kazachstanu jeszcze przed wojną w roku 1936. Ci, co przeżyli głód, byli represjonowani, wywożeni do łagrów, rozstrzeliwani. Wymierały całe wsie, a jednocześnie zakładano kołchozy.

Władza ogłosiła wkrótce - pisze autorka - że osiągnięto całkowitą, dobrowolną i powszechną kolektywizację. Nie było już „jednoliczników”. Wszyscy pracowali w kołchozie.

Rodzicom autorki zabrano gospodarstwo, co oznaczało rychłą deportację na Wschód. Trafiła do Kazachstanu, mając 13 lat. Transport okolicznych mieszkańców przez Wołgę i Ural trwał trzy tygodnie. Wysiedli w pustym stepie, tam, gdzie skończyły się szyny kolejowe. Komendant transportu powiedział im: „zdieś budietie gorod stroit”.

Jak podaje Tomasz Bohun w posłowniu do książki, do Kazachstanu wywieziono w 1936 roku prawie 36 tysięcy Polaków, z czego ponad 12 tysięcy dzieci:

Część osiedlano w istniejących już sowchozach, jednak z reguły osadzano ich na pustkowiach, gdzie musieli zaczynać od zera. Za sprawą tych ludzi powstało 37 nowych wsi. Szacuje się, że w latach 1926-1939 liczba Polaków na radzieckiej Ukrainie zmniejszyła się - w wyniku egzekucji, deportacji, głodu - o 120 tysięcy i w końcu lat 30. wynosiła 357,7 tysiąca osób.

Podczas klęski wielkiego głodu na początku lat 30. zginęło na Ukrainie około 3 milionów ludzi. Wiadomo, że dochodziło wtedy do sytuacji straszliwych i makabrycznych,

do aktów kanibalizmu i nekrofagii - pisze Tomasz Bohun.

Zwykle dramat rozgrywał się w łonie rodziny lub grupy sąsiedzkiej, kiedy dogorywające albo martwe dzieci zjadali rodzice czy krewni. Działały też wyspecjalizowane szajki, które przekazywały zwłoki (wcześniej z reguły mordując ludzi) do swoistych masarni, które po przetworzeniu dostarczały makabryczny towar na targi, a nawet zaopatrywały w niego restauracje.

W Kazachstanie zesłańcy byli nowoczesnymi niewolnikami w obozach bez ścian i drutów, ograniczonych tylko całkowicie wolną, niezmierną, nie do przebycia przestrzenią. Mieli budować osady dla siebie i Kraju Rad. Ci, co przeżyli głód i mróz, budowali lepianki z brył błota i trzciny w środku bezkresnego stepu, zaludniali i uprawiali pustynię. Po pierwszej epidemii zapadali na głodowy szkorbut, czyli cyngę i kurzą ślepotę. Kobiety umierały przy porodach, aż przestały rodzić. Mężczyźni próbowali beznadziejnych ucieczek. Autorka zaczęła chodzić do szkoły do odległej wsi. Kiedyś omal nie zamarzła, wracając do domu. Brat, który rzucił kałamarzem w portret Stalina, pojechał na dziesięć lat zsyłki do kopalń Magadanu.

Dzięki nieludzkim wysiłkom w ciągu kilku lat przetrwali największy głód i najtrudniejszy, udany w rezultacie, okres zasiedlenia egzotycznej ziemi. Zaczęli dostawać wiadomości z rodzinnych stron na Wołyniu. Były to jednak najczęściej wieści o

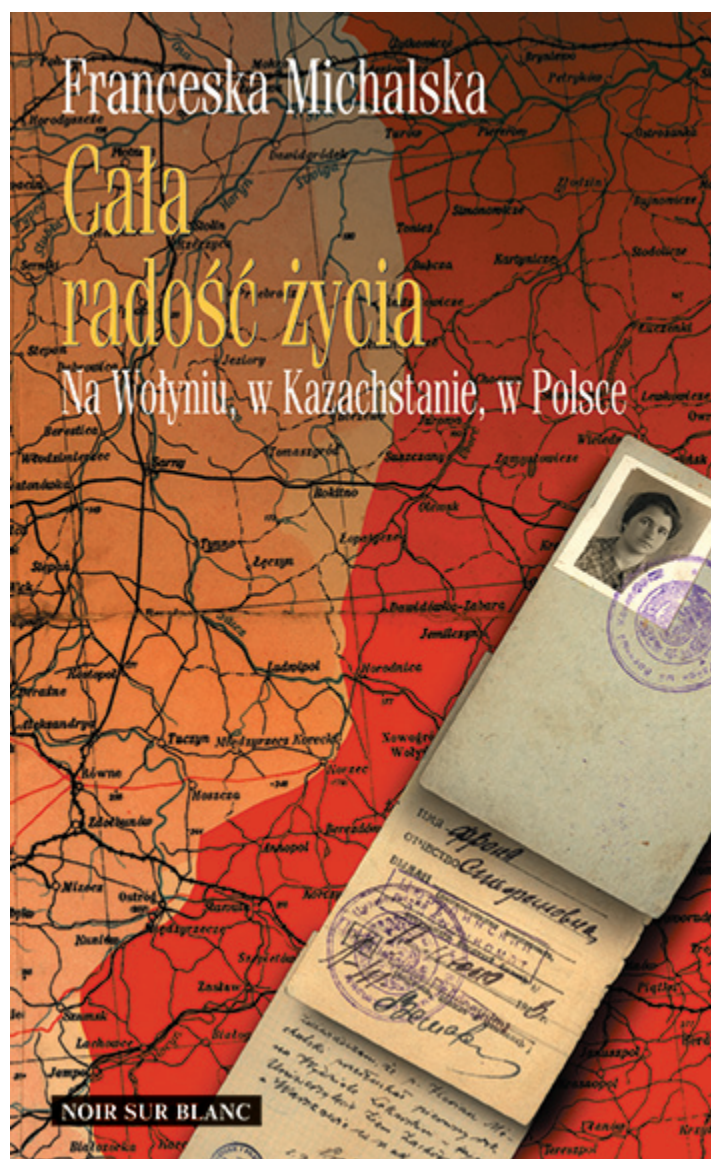
nowych aresztowaniach i wywózkach. Z trudem udało się autorce jako przymusowo osiedlonej zapisać do szkoły felczerskiej, na co musiała uzyskać zgodę NKWD. Po wybuchu „wielkiej wojny ojczyźnianej” w 1941 roku udało się jej też wydostać z Kazachstanu na dalsze studia medyczne. Przez Nowosybirsk i Omsk trafiła do Ałma-Aty, gdzie zapisała się do Instytutu Medycznego. Wkrótce jednak wyrusza dalej, do Charkowa zrujnowanego wojną. Na zimę dostaje mieszkanie bez okien. Nie ma papieru do robienia notatek, dostępne są tylko dzieła Stalina, na tyle jednak wygodne, że można pisać między linijkami druku. Koleżance, która uszyła sobie sukienkę z materiału znalezionej w lesie wytoczono śledztwo. NKWD podejrzewało ją o przechowywanie desantu spadochroniarzy.

W poszukiwaniu lepszych warunków autorka przenosi się do Czerniowiec, już na granicy rumuńskiej. Stale myśli o powrocie do Polski. Koniec wojny nie oznacza możliwości powrotu, jest już bowiem obywatelem sowieckim. Tylko dzięki różnym zabiegom, wcale nie dyplomatycznym, uzyskuje zgodę, czyli odpowiednie papiery, na repatriację.

Przed wyjazdem do Polski odwiedza jeszcze swą wieś na Wołyniu i dom rodzinny zajęty przez kolchoz, ogląda zrujnowane gospodarstwo. Nie może wejść do domu, bo w głównej izbie zamknięto niebezpiecznego buhaja, którego wszyscy się boją. Przyjeżdża do Polski i na pierwszej stacji kupuje sobie mydło i

bułkę z szynką. Jest zaskoczona, że można kupić więcej, nieomal wszystko „skolko ugodno”. Dziwi się, że do dalszej podróży potrzebny jest tylko bilet, a nie specjalne dokumenty. Ale tak dobrze było tylko po wojnie. Polska miała się stać również sowiecka, taka, jak kraj, z którego autorka uciekała. Z trudem więc udało się jej skończyć studia medyczne we Wrocławiu, była bowiem podejrzliwie traktowana przez nowe władze komunistyczne jako repatriantka, uciekinierka ze Wschodu.

Jej podróż do Polski trwała dziesięć lat i zajęła większą część jej dzieciństwa i młodości. Może powiedzieć, że ta podróż skończyła się naprawdę szczęśliwie. Radość, o której wspomina w tytule swych wspomnień, wynika w tym wypadku nie z odbywania samej podróży, lecz z jej zakończenia, radość z kresu podróży. Radość wynikająca z cudu ocalenia, bo wielokrotnie uszła z życiem, które inni tracili. Była w tym innym świecie, z którego wrócili nieliczni. Swe wspomnienia z tamtego świata napisała już z innej perspektywy całego późniejszego życia, zostały przefiltrowane przez upływający czas, dlatego może są skrótowe i powściągliwe. A jednak przez tę oszczędność tym bardziej wstrząsające w swych szczegółach i obrazach, w sytuacjach które mogą oddać choć część prawdy o tak nieludzkim świecie. Pozostają w pamięci jak widma czegoś nierzeczywistego, o czym wiemy jednak, że się zdarzyło, pozostają jak cienie ludzi, którzy to wszystko przeżyli, ale, być może, sami już nie bardzo wierzą, jak to wszystko było możliwe.



Franceska Michalska, Cała radość życia. Na Wołyniu, w Kazachstanie, w Polsce. Wspomnienia, Noir sur Blanc, Warszawa 2007.

Marek Klecel doktor nauk humanistycznych, historyk, wykładowca literatury polskiej XX wieku na Uniwersytecie

Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie, publicysta, wydawca, redaktor.

Franceska Michalska (ur. 10 sierpnia 1923 w Kamieńcu Podolskim, zm. 29 listopada 2016 w Siemiatyczach) – polski lekarz pediatra i pisarka.

Rodzice Franceski – Waśkowscy – prowadzili gospodarstwo rolne na Wołyniu, we wsi Maraczówka. Po zakończeniu wojny polsko-bolszewickiej, w wyniku podpisania traktatu ryskiego wieś znalazła się kilkanaście kilometrów na wschód od granicy II Rzeczypospolitej.

W 1936 r. rodzina została przymusowo przesiedlona do Kazachstanu. Na rok przed wybuchem II wojny światowej dostała się do trzyletniej szkoły felczerskiej w Pietropawłowsku, którą ukończyła w przyspieszonym tempie, a następnie została wysłana do jednego ze szpitali polowych Armii Czerwonej, skąd po krótkim czasie została przeniesiona do pracy w domu dziecka. W 1941 r. zdała egzaminy wstępne do Instytutu Medycznego w Ałma-Acie, skąd przeniosła się do Charkowa, a następnie do Czerniowiec, cały czas kontynuując studia medyczne. Po zakończeniu II wojny światowej uzyskała (nie do końca legalnie) status polskiego repatrianta i została skierowana do Wrocławia, gdzie kontynuowała studia na tamtejszej Akademii Medycznej. Absolutorium na tej uczelni uzyskała w 1949 r., a

dyplom lekarza w 1950.

Po studiach nakazem pracy została skierowana do Kłodzka, gdzie pracowała wraz z mężem w miejscowym szpitalu w latach 1951-1954; urodziła w tym czasie troje dzieci. W 1955 r. zdecydowała się przenieść z całą rodziną do Siemiatycz, do szpitala powiatowego im. dr Józefa Brudzińskiego. W 1956 r. w Instytucie Doskonalenia Kadr Lekarskich w Warszawie uzyskała specjalizację I stopnia z pediatrii. Specjalizację drugiego stopnia otrzymała w 1966 r. Od tego roku do 1985 pełniła funkcję ordynatora oddziału dziecięcego w szpitalu w Siemiatyczach.

W 1991 r., będąc już na emeryturze, Franceska Michalska zaczęła spisywać swoje wspomnienia. Wydała je początkowo w formie dwóch artykułów prasowych w „Życiu Warszawy”. W trakcie śmiertelnej choroby jej syna Jana, który wyemigrował do Szwajcarii, aby pocieszyć jego córki, a swoje wnuczki, zaczęła spisywać wspomnienia w bardziej obszernej formie. W 2007 r. wspomnienia te w formie książkowej zostały opublikowane przez Oficynę Literacką *Noir sur Blanc*. W 2008 r. książka znalazła się w finałowej siódemce nominowanych do literackiej nagrody COGITO. Książka ta została przetłumaczona i wydana w 2009 r. we Francji. (*Wikipedia*)